

Jarosław Iwaszkiewicz

WARSZAWSKI ARTYSTA

w 105 rocznicę śmierci Chopina

Jakież były owe siły, które wywalczyły nam Chopina i stworzyły z niego wielkiego, narodowego artystę? Przede wszystkim był to jego wielki talent, „genusz muzyczny“, który po prostu żywiołową siłą pchał go do dokonania tych rzeczy, jakie go wzniosły ponad owe towarzystwo, w którym zdawało się tkwić po uszy. Oczywiście pomagała mu w tym niezwykle inteligencja, francuska jasność spojrzenia, która mu pozwoliła nader wcześnie ocenić wartość owego towarzystwa, w którym się obracał, jak również określiła mu tak jasno — jak kontur na śniegu zarysowany — jaki jest cel jego sztuki i jakie są jego zadania życiowe. Inteligencja, która mu jednocześnie ściśle określiła środki, jakimi ma działać, aby stworzyć sztukę narodową; mądrość życiową tak wcześnie zjawiającą się u tego dziecka salonów, a właściwie dziecka „oblatanego“ po salonach, które mu bardzo wcześnie liczyło tylko na siebie i na swój fortepian.

Wcześniej już Frycek ocenia wartość owej wiekopięknej opieki. Gdy mu Antoni Radziwiłł proponuje zamieszkanie w jego berlińskim pałacu, pisze do powiernika Tytusa:

„Były bowiem oświadczyliśmy... i tym podobne słowa, piękne, zabawne — ja jednak żadnej w tym nie widzę korzyści, gdyby się to nawet udało. o czym wątpię, bo już to niejedna łaska, którą na pstryku koniu widziałem“.

Jest to jak gdyby résumé dziewiętnastoletniego Chopina ze wszystkich jego doświadczeń salonowych. Jego niezwykła indywidualność wyciągnęła go z tych zasadzek, które go mogły przyprawić o zawrót głowy i zaparcie się swego „wierzę“.

Aleć jeszcze sama indywidualność nie wystarczyła w tym względzie. Musiał się Chopin opierać na kimś, być przez kogoś poczesany, kierowany. Kto działał osobiście na Chopina — nie wiemy. Kto to był Tytus Wojciechowski — najbliższy jego przyjaciel — nie orientujemy się tak samo, jak minimalnie wiemy o Janie Matuszyńskim. Reszty przyjaciół Chopina z tej epoki nie znamy. Ich martwe imiona i nazwiska spłyknęły w listach podobne są do starożytnych sylwek wycinanych z czarnego papieru.

Nawet mało mamy poszlak, aby spotykał się z Mochnickim, Witwickim i innymi młodymi demokratami owej epoki. Jedyn list Witwickiego, datowany do Chopina z Warszawy w roku 1831, jest dość oficjalny, napisany zapewne na prośbę rodziny Fryderyka, gdyż jego zawołanym celem jest powstrzymanie kompozytora od przyjazdu do Warszawy, która jest w pełni przygotowana do obrony przed armią Paskiewicza. Witwicki traktuje w tym liście młodszego o osiem lat Chopina per „Kochany Panie Fryderyku“ — co nie świadczy o zażyłości pomiędzy młodymi ludźmi. Przyjaźń Witwickiego i Chopina datuje się dopiero z czasów emigracyjnych, z Paryża. Całkiem odmienny, charakterystyczny ton, jaki panuje w listach i kartkach Witwickiego, datowanych z Paryża, oświeca bardzo mało tylko ten list warszawski. O przyjaźni z Mochnickim także nie wiemy.

W tej dziedzinie musimy pozostać przy domysłach. Oczywiście o ile chodzi o sztukę, to atmosfera rewolucyjna była bardzo wyraźna. Charakterystyczne są zmiany tak wczesne Chopina o Mickiewicza. Ze Chopin bardzo wcześnie zdecydował poświęcić się „zaspiewowi na sztukę narodową“ jest także jasne. Decyzja ta powzięta była z całą świadomością; w tym kierunku działał niechcący wewnętrzny nacisk wielkiej miłości do ojczyzny i jej ludu, a także i nacisk zewnętrzny. Widzieliśmy jak sztuki narodowej wymagał od swego ucznia Elsner i jak słusznie spórzał rytm narodowy nawet w młodocianej muzyce Chopina. We wspomnianym liście pisze również Stefan Witwicki te słowa: „Obyś tylko cagle miał na uwadze: narodowość, narodowość i jeszcze raz narodowość, jest to prawie cześć słowa dla pospolicich pisarzy, ale nie dla takiego jak Twój talent. Jest oczyszta melodia jak klima oczyste. Góry, lasy, wody i łąki mają swój głos rodzinny, wewnętrzny, choć go nie każda dusza pojmuje... Ty bądź oryginalnym, o czystym: może Cię z początku nie wszyscy pojmą, ale wytrwałość i ukształcenie się na raz obranem polu zapewni Ci imię u potomnych...“

Słowa te są bardzo namacalnym symbolem, uświa damiającym Chopinowi jego wartość narodową. Zamykał on je bardzo głęboko w swoim sercu, które potrafiło przechowywać wiernie i niedostępnie niejedno uczucie i niejedno przykazanie.

Lecz tego jeszcze mało. Kto nauczył Chopina czuć po polsku w przeciwstawieniu do kosmopolitycznych salonów? Oczywiście to, co salonom owym w samej swej istocie się przeciwstawiało. Nie mieszczańskie, którzy salony owe uważali za wzór niedościgny, nie drobni mieszczańscy, żyjący z odpadków pańskiego stołu. Ale przede wszystkim lud polski, lud warszawskiej ulicy, z którą Chopin codziennie miał i musiał mieć do czynienia. Wszak jeszcze wtedy nie jeździł własnym powozem.

Matematycznie biorąc większość swego polskiego żywota Chopin spędził w Warszawie. Tutaj uczył się, bawił, flirtował, spacerował i patrzył, patrzył, patrzył swoimi chłonnymi, mądrymi oczyskami. Tutaj także słuchał — i tworzył tak typową warszawską, radosną, powiewającą muzykę, jaką są jego oba koncerty fortepianowe.

Wiemy wszyscy i zgadzamy się z tym, że Chopin był demokratą. Nie na sposób George Sand, która chętnieby widziała komunizm i podział ziemi, poza hektarami należącymi do Nohana! — ale w sposób raczej instynktowny, przywyczażeniowy. Gdzież się przejął Fryderyk postępowymi ideami? Chyba nie w salonie panny de Moriolles albo w pałacu „hrabiny“ Mestowskiej. Tylko na ulicy warszawskiej, która zawsze żyła życiem ojczyzny, pulsowała krwią całego kraju, była ożywcza i symptomatyczną arterią jej istnienia.

I dlatego lud warszawski do dziś dnia kocha Chopina i uważa go za swojego, par excellence swojego kompozytora.

Nowiny
TYGODNIA

Tygodniowy dodatek „Nowin Rzeszowskich“

W numerze:

TADEUSZ STANISZ — Powieść o wsi dębickiej „Jaworowy dom“ W. Macha

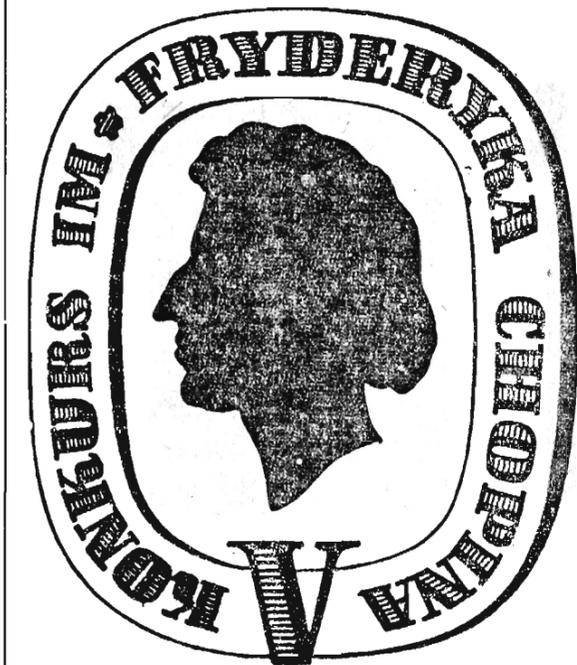
STANISŁAWA DUBYK — Dzieli ich rzeka

JÓZEF JACHOWICZ — W strasznych mieszkaniach, straszni mieszczańscy

ADAM KULESZA — Dyskusja o „Nowinach Tygodnia“

RENATA NIEMIRSKA-PISAREK — „Dyskusja o plastyce rzeszowskiej“

Tu przypiął, tam przylatał.



PRZED V MIĘDZYNARODOWYM KONKURSEM IM. FRYDERYKA CHOPINA. NA ZDJĘCIU: GODEŁO KONKURSU.

ZGODNIE ZE STATUTEM

Niebo zasnuwały raz po raz ciemne chmury, gdziegdzie tylko przeświecał wąski rąbek światła. Wiał zimny wiatr. Strzącał liście z drzew, ściskając je szeleszcząc, m dywanem na drogach i polach.

Nad polami unosiły się dymy z palących się ognisk. Palono łąki ziemniaczane. Wszędzie jak okiem sięgnąć widać grupki ludzi, wozy, konie — zbierano ziemniaki, zwożono buraki, cukrowe, orano. Kończyła się jedna, rozpoczynała się druga kampania o zbiory.

W jeden taki jesienny dzień zwołano zebranie członków spółdzielni produkcyjnej w Stubnie. Gdy chodziło o sprawy spółdzielni, przychodziła ich zawsze spora gromada.

Tym razem chodziło o wykopki.

— Pora najwyższa przystąpić do kopania. Zasnulo się na dobre deszczem. Musimy wyszysy jak jeden ruszyć na ziemniaczyska — zaczął przewodniczący.

Spokojnie omówiono plan batalii ziemniaczanej. A więc przodem miała iść kopaczka, za nią kobiety z koszami, potem mężczyźni i konie z furmankami. Była to zwykła narada produkcyjna nasyciona troską o spółdzielcze dobro, gdyż ani jeden ziemniak nie może zostać w polu.

Sygnalem do dyskusji stały się znowu słowa przewodniczącego — nasze dzisiejsze zebranie spółdzielcze ma rozpatrzyć sprawę przyjęcia nowych członków. Piotr Wirkiejowski i Łukasz Wirkiejowski podpisali już deklaracje. Oczy obecnych zwróciły się na wymienionych. Znali ich — sąsiedzi. Trzeba teraz patrzeć i zdecydować — skończył przewodniczący.

Gdzież z kąta padły pierwsze słowa — dobrze robia!

— Zdążyli się chyba napiężyć, jak to jest w spółdzielni produkcyjnej — czerzy lata patrzyli! — ten głos był wyraźnie zaczepny.

O to za chwilę miała się powiększyć spółdzielca rodzina. Nie darmo jednak przypominano tu na zebraniu, że cztery lata istnieje już spółdzielnia w Stubnie. I chyba właśnie to 4-letnie doświadczenie kazalo obejrzeć wyciągnięta ku sobie rękę, czy nie jest przypadkiem brudna (choć właśnie nie o higienę chodziło). Ostrożność i czujność obowiązywała.



Obraz W. Dilka — „Zebranie w spółdzielni produkcyjnej“

Rośnie, rozwija się z każdym dniem spółdzielca gospodarstwa w Stubnie. Każdy biłans, każdy nowy budynek, każdy kwintal wydobyty z ziemi plonu siał spustoszenie i zamieszanie w szeregach wroga, obałiał płoć, ale wróg nie ustępuje łatwo. Zmienia pozycję i przypuszcza atak z innej strony. Mało to mieli przykładać!

A kto rozpiął b. przewodniczącego? Kto przywoził go nieprzysłomnego i zostawiał na pośmiewisko pod płotem? Próbowano z tej strony rozbić spółdzielczy kolektyw.

Próbowano siac zamieszki w rodzinach, rozbijac stadia małżeńskie, siac demoralizację. I przez ten ogień przeszli zwycięsko spółdzielcy.

Przewodniczącego zdjęto ze stanowiska, wyrzucono ze spółdzielni kobietę, która próbowała prowadzić perfidną, rozbijającą robotę...

Padły proste, rzeczowe pytania.

— Znasz to Łukasz statut spółdzielczy?

— Znam.

— Zgodnie z nim oddajesz do wspólnego użytkowania ziemię? Inwentarz żywy, tzn. konie jak masz, dwie krowy możesz zostawić na działce przyzagrodowej, reszta też trzeba oddać do wspólnej obory. Dajesz ziarno na zasiew i nawozy? Zobowiązujesz się pracować w spółdzielni przynajmniej 100 dniówek?

— A no, ziemię dam. Wszy stką. Ziarno na zasiew i nawozy też dam, 100 dniówek pracując.

— A konie?

Konie — psiakrew — nie jeden zaklął w duchu. Ile te poczciwe zwierzęta narobiły kłopotu spółdzielcom. Począł kowo, gdy nie było wspólnej

orzysz koniami ze wspólnej stajni, będziesz potrzebował sprzężaju — pożyczymy ci — gwarantuje to zresztą statut.

— Nie mogę dać — upierał się przy swoim Łukasz Wirkiejowski.

— Musisz dać, tak mówi statut, który sam podpisałeś.

— Nie, ziemię dam, ziarno dam, nawozy dam, a koni nie dam.

— A zrobić w spółdzielni będziesz?

— Chyba będę.

— Chyba, mówisz! Coś tu kręcisz. Ostro nacierali ze wszystkich stron na Wirkiejowskiego, pytali dlaczego, tłumaczyli, że trzeba oddać konie, a on swoje, że nie i nie.

Wreszcie wydobyl ze siebie zdanie: przecież matka ma gospodarstwo.

Wtedy zrozumieli. Toś ty taki? Masz swoją gospodarstwo w Stubnie, a matka ma również swoją ziemię. Ona sama nie uradzi gospodarzyć, bo stara, a i ty na dwóch gospodarstwach też nie dajesz rady. Więc jedną ziemię do spółdzielni, a sam z koniami — wio na gospodarstwo do matki.

Nie, nie przyjmować! Potem, jak się nam będzie robotą na łeb walić, on będzie tyrał najpierw na polu matki. Znamy takich.

— Coście się tak mnie ubczepili. A czy to ja jeden, jedyny będę miał w spółdzielni konie? — Łukasz wyrzucił ze siebie te słowa i pa trzył teraz wyzywająco.

Ten i ów głowę schował w ramiona. Nawet Derkacz też spuścił oczy. Może sobie akurat przypomniał o tych półtora hektarach żony i o tym koniu.

A walne zebranie dyktowało: Niech się Łukasz Wirkiejowski dobrze zastanowi zanim przyjdzie do spółdzielni. Nie można równocześnie palić Bogu świeczkę a diabłu ogarek. Prawda, że jeszcze jest u nich nie wszystko w porządku. Ale teraz dostregli już, gdzie leżą błędy w ich pracy — w łamaniu zasad statutu spółdzielczego.

Pora naprawić stare błędy, a nowych nie będziemy popełniać — taki był sens gorączkowej, namiętnej rozmowy.

I zgodnie ze statutem Łukasz Wirkiejowski nie został przyjęty na członka spółdzielni. Był to pierwszy krok spółdzielców ze Stubni, który pozwoli im odrzucić balast w ich marszu — posiadać nie na działkach przyzagrodowych koni.

E. Jakubowska

DYSKUSJA O „NOWINACH TYGODNIA”

Adam Kulesza

„NOWINY TYGODNIA” — KRONIKĄ KULTURALNĄ WOJ. RZESZOWSKIEGO

Z uwagą śledzę przebieg dyskusji nad „Nowinami Tygodnia”. Nie mam zamiaru powtarzać poglądów W. St. Czajkowskiego...

Uważny czytelnik na pewno dostrzegł, że poszczególne numery „Nowin Tygodnia” zawierają bardzo duży wachlarz zagadnień, nie tylko związanych z naszymi województwem.

„Objazdy Teatr Korespondentów” jest dobrą satyrą na sobiepanków, brakoróbstwa etc. Ale cóż, poza tym z naszego terenu czytamy na stronie czwartej „Nowin Tygodnia”?

Felietony i fraszki znajdujemy w „Szpilkach” i innych periodykach. Uważam, że jeżeli ta strona poświęcona jest humorowi, to powinien on być więcej związany z życiem, obyczajowością rzeszowszczyzny.

Czytelnikom nie wolno zapominać o tym, że „Nowiny Tygodnia” są dodatkiem kulturalnym do „Nowin Rzeszowskich” organu KW PZPR, a więc muszą realizować politykę partii z uwzględnieniem przede wszystkim potrzeb województwa.

Gazeta ma za zadanie nie tylko informować, ale wychowywać, mobilizować do czynu,

ujawniać i uczyć jak należy pokonywać trudności na naszej pokojowej drodze do socjalizmu.

Jako długoletni czytelnik i współpracownik „Nowin Rzeszowskich” stwierdzam, że nie raz „Nowiny Tygodnia” dopomogły mi w pracy nauczycielskiej. Znajdowałem w nich artykuły związane z pracą w szkole, z zagadnieniami socjalistycznego wychowania.

„Nowiny Tygodnia” z zainteresowaniem czyta młodzież i o niej trzeba więcej pisać.

Tak. Ale czy tylko dodatki kulturalne ma być dla inteligencji i młodzieży?

Biorąc to pod uwagę, że „Nowiny Tygodnia” mają być dostępne dla wszystkich, proponuję utworzenie „Kącika racjonalizatora”. Niech tam znajdą się zagadnienia upowszechniania nowych metod pracy, przodujących ludzi województwa.

Uważam, że trzeba popularyzować czytelnictwo przez podawanie krótkich recenzji wartościowych publikacji, pojawiających się na rynku księgarskim. Nadal w „Nowinach Tygodnia” powinno być miejsce na recenzje sztuk teatralnych i filmów, które znajdują się na scenach i ekranach naszego województwa.

Na zakończenie dodam, że na wydawanie „Przeglądu kulturalnego ziemi rzeszowskiej” jest moim zdaniem jeszcze czas. Jestem przekonany, że wkrótce powstanie w Rzeszowie oddział Związku Literatów Polskich i wtedy będzie miał on „pełne pole do popisu”. Teraz z uzasadnieniem możemy żądać, aby Redakcja „Życia Literackiego” bardziej zwróciła uwagę na ziemię rzeszowską i rozszerzyła swój zakres pióra. — Stalinogród, Kraków plus Rzeszów.

DZIELI ICH RZĘKA...

„Prapoczątkach” opowiada kierowniczką szkoły Emilia Kiel: Historia zaczęła się kilka lat temu. Pewnego chłodnego i wietrznego dnia późnej jesieni tak jak dziś, kiedy ludzie kończyli ostatnie prace w polu, do szkoły poszchodzili się starzy i młodzież naszej wsi.

Na wiosnę rozpoczęto budowę. Korniakowscy chłopcy robili sami cegły, wypalali, zwozili na obrany plac na przeciwko szkoły. Przy budowie pomagały nawet dzieci szkolne, które podawały cegły murarzom.

terenu, wprawdzie trochę niewygodne krzesła, stoły tzw. szlabanki, nawet z jednej sali zrobiono chatę wioską z kredensem na ścianie. Po kilku dniach na budynku pojawił się napis: „Świetlica”.

PRZYJECHALI GOŚCIE

W piękną pogodną październikową niedzielę przybyli do korniakowskiej świetlicy goście z KP z Łańcuta. Dzień ten specjalnie uroczysto obchodzili mieszkańcy Korniaktowa.

Dzień, który zapisał kronikarz lub pamiętnikarz pod specjalnym tytułem „Nagroda za naszą pracę”, lub bar dziej romantycznie, „Mocno przyrzeczawa październikowe słońce”. W ową pamiętną niedzielę wręczono nagrodę

ładniej ubierać, wyjeżdża do miasta, do teatru, często bywa w kinie. Druga pozostaje w tyle, lubią się w dalszym ciągu, ale mimo woli odczuwają, że ich coś zaczyna dzielić, nie mogą ze sobą tak serdecznie rozmawiać jak niegdyś.

Jasne, dzieli ich nierówny już poziom kulturalny. Podobna sytuacja była w Korniaktowie. W prawym Korniaktowie wybudowano szkołę, świetlicę, dużo młodzieży w tej części wsi kształci się nie tylko w gimnazjum, ale i na wyższych uczelniach, 72 proc. mieszkańców wyjeżdża do pracy do miasta. Druga połowa liczy mniej mieszkańców, wszyscy pracują na roli, mniej młodzieży się kształci, nie ma porządnej szkoły ani świetlicy, kino prawie tu nigdy nie dojeżdża. Dlaczego się tak dzieje? Czyżby niedbalstwo mieszkańców lewej strony, częściowo tak, prawa strona Korniaktowa ma więcej inicjatywy, potrafi więcej zrobić, lecz nie umie zachęcić do roboty swoich najbliższych sąsiadów zza rzeki. Bywały dni, kiedy w świetlicy było specjalnie wesoło. Do tańca, młodzieży przygrywała kapela ludowa, kto tylko mógł nogami suwać to wywijał polki, walca, oberka, tango. Młodzieży było w tych dniach specjalnie dużo. Przyszli z prawego i lewego Korniaktowa. Nie wszyscy się jednak bawili.

— Jasiu, czego nie tańczysz, bierz ta którąś i hulaj — radził kolega.

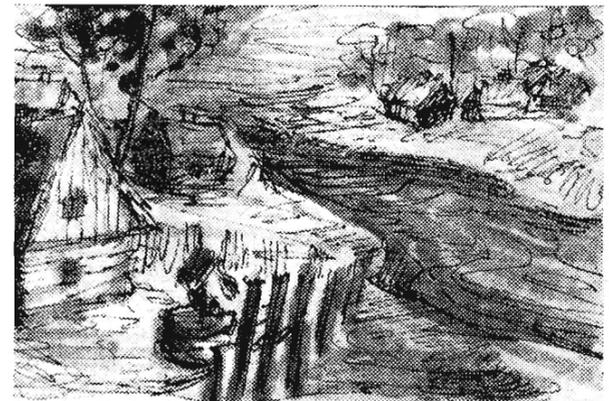
— Nie, pójdę do domu, to nie nasza świetlica.

Część młodzieży za chwilę ruszyła do domu. To Korniaktów lewy pozbawiła bawiącą się młodzież w świetlicy — z prawego. Ktoś tam jeszcze ironicznie uśmiechnął się, wymyślał odchodzących, i na tym się skończyło. Nikt specjalnie nie starał się zatrzymywać przyjaciół z lewej połowy wsi. Nie zatroszczyła się młodzież z prawego Korniaktowa o swych kolegów, nie wytłumaczyła im, że to jest właśnie i ich świetlica, gdzie powinni razem bawić się i pracować. Mieszkańcy Korniaktowa włożyli dużo pracy w wybudowanie świetlicy. Aktyw świetlicowy, na którymś ze swoich zebrań wytyczył sobie cel, „świetlica powinna promieniować na pobliskie okolice”. Takie były założenia i plany, lecz brakowało wytrwałej pracy. — Świetlica ma osiągnąć. Członkowie z poszczególnych zespołów wyjeżdżali do innych wsi z występami, zdobyli proporczyk przechodni na eliminacjach powiatowych. Ale do tej pory aktywy świetlicowe nie umiały przyciągnąć do świetlicy najbliższych swoich kolegów, kolegów z tej samej wsi, mieszkających tylko za rzeką.

Chłopcy przychodzili do świetlicy po to, aby z radością oznaczyć, że już swój obywatelski obowiązek wypełnili. Kto jeszcze nie, wytykało go palcami. W tym roku świetlica zbierała owoce pracy lat poprzednich. Śluszenie więc sekretarz propagandy z Łańcuta, główną zasługę przypisał świetlicy. Zebranie dobiegało końca. Miano wręczyć nagrodę. Ale komu, której połowie wsi?

„WISŁOK”

Bywaj Helu, do widzenia, jutro znów spotkamy się w świetlicy, Hela jeszcze chwileczkę stała. Słychać było oddalające się kroki Franka, później jakieś szmotałanie, plusk wody i uciuchło. Franek już przyjechał. Hela wracała do domu. Jak nigdy, w tej chwili zastanawiała się nad sytuacją panującą w jej wsi. Wieś jedna, a właściwie jakby dwie. Dzieleli ją na połowę rzeka, i nie tylko rzeka, są głębsze przyczyny. U nas w świetlicy — rozmyślała Hela — jest zawsze mało młodzieży. Nie wiele jej jest na prawym brzegu Korniaktowa. A z lewego młodzież nie chce przychodzić. Coś musi być. Dzieleli nas nie tylko rzeka. Z Korniaktowem stało się tak, jak bardzo często bywa między dwoma serdecznymi przyjaciółkami. Są obydwie w jednym wieku, mają jednakowe zainteresowania, żyją w zgodzie, lubią się. Jedną, jak się okazuje, ma więcej inicjatywy, zaczyna się



waż szkoła jest za mała. Budynek ogrodzono, a z pozostałych materiałów chłopcy korniakowscy zrobili chodnik do szkoły. Niech te panie nauczycielki nie szkapają po błocie — powiedział śmiejąc się na zakończenie Józef, który cały czas solidnie pracował przy budowie. Do sal stolarze korniakowscy zrobili ludowe meble, charakterystyczne dla tego

pieniężną mieszkańcom wsi za przedterminowe 100 procentowe wywiązanie się z obowiązkowych dostaw wobec państwa. Niemala w tym zasługa świetlicy — po wiedział w swym przemówieniu sekretarz wydziału propagandy KP z Łańcuta. Julian Czyrek kierownik świetlicy, siedzący gdzieś tam w kącie między chłopami, mocno się zaczerwienił. Skromność — możliwe, ale przecież w tym roku świetlica zrobiła bardzo mało, rozmyślał Julian Czyrek. Nie było jak w innych latach tzw. szóstek wyłonionych spośród członków poszczególnych zespołów świetlicowych, które chodziły po domach i tłumaczyły chłopom o potrzebie dostawy, że ma sto czeka itd. nie robiliśmy specjalnych zebrań w świetlicy. Jedyna zasługa świetlicy wyraża się tym, że wychowała ona ludzi w latach poprzednich.

Dyskusja o plastyce rzeszowskiej

Renata Niemirska-Pisarkowa

W SPRAWIE KOLEKTYWU

Artykuł Stanisława Witowskiego, rozpoczynający dyskusję o plastyce rzeszowskiej na łamach „Nowin Tygodnia”, porusza wiele spraw, interesujących żywo artystów przebywających na tutejszym terenie. Wszyscy cierpiemy na podobne bolączki, wszyscy dostrzegamy jakiś niepokojący zasięg w życiu plastycznym naszego województwa. Analfabetyzm plastyczny panoszy się tu, być może, z większą nawet siłą, niż w innych zakątkach Polski. Zaś przebywający tu artyści, jak się okazuje, są często pomijani w zleceniach na prace plastyczne dla miasta Rzeszowa. Stanisław Witowski cytując przykłady świadczące o marnym traktowaniu tutejszych artystów, z drugiej zaś strony Leon Pudłowski twierdzi, jakoby właśnie prace wykonane przez zawodowych artystów były nie na właściwym poziomie. Nie jestem zorientowana, kto wykonywał poszczególne prace — faktem jednak jest niezaprzeczanym, że ściany niektórych rzeszowskich budynków są zszpeczone malowidłami, będącymi smutnym świadectwem knociarstwa.



Portret Marcina Kromera historyka i humanisty z Biecza, pędzla czołowej artystki Marii Gabriel - Różyckiej z Gorlic. Foto. Popijakowski

Je zamówienie: ama'or, czy artysta zawodowy, decydujący natomiast jest poziom wykonywanej pracy. W związku z tym, myślę, że słusznie zauważył Leon Pudłowski, aby przyjąć do ZPAP tych amatorów, którzy mogliby wykazać się pracami o właściwym poziomie. Nie rozumiem tylko, dlaczego Leon Pudłowski przypisał wszelką knociarską robotę przede wszystkim plastikom zawodowym, skoro, jak słyszałam, wiele prac wykonują amatorzy i robią to często bardzo źle.

A propos wystawy Delegatury Związku Polskich Artystów Plastyków, to myślę, że Leon Pudłowski zupełnie niesłusznie sugeruje, jakoby jej największym mankamentem leżał w samej tematyce. — To, że na wystawie dominuje portret i pejzaż nie świadczy bynajmniej o tym, aby artyści rzeszowscy stali na

marginesie życia społecznego. Przecież realizm socjalistyczny, to metoda twórcza, a nie żadna doktryna, ograniczająca swobodę twórczości.

Myślę, że inna sprawa jest niepokojąca na wystawie. To, że prac jest tak mało, to, że prace te nie są takie, jakie pragnelibyśmy oglądać. Tu i ówdzie zafrapuje kolor, ale żadna z prac nie wzbudza głębokiego przeżycia.

Leon Pudłowski zastanawia się jakie przyczyny zniechęcają członków ZPAP w ich pracy twórczej. Coś nie pisze o tym Stanisław Witowski — można by jeszcze cokolwiek dorzucić.

Jeśli idzie o ostatnią wystawę, to np. ja byłam powiadomiona przez Delegaturę ZPAP, że prace mają być związane tematycznie z Rzeszowem. Takie postawienie sprawy zniechęciło mnie do wzięcia udziału w wystawie, ponieważ zbyt krótko przebywam na tym terenie, aby przeżyć problematykę tutejszego miasta we właściwy sposób i móc ją artystycznie interpretować. Dopiero po otwarciu wystawy dowiedziałam się, że tematyka jest różnorodna.

Myślę, że poważnym mankamentem w życiu plastycznym Rzeszowa jest siaba działalności Delegatury ZPAP. Można by może od czasu do czasu organizować spotkania członków ZPAP celem dyskusyjnym tak żywo interesujących nas problemów. Może udałoby się zorganizować rysunek wieczorny z modelu, na którego przecięciu nie możemy sobie indywidualnie pozwolić. Wielu z nas mieszka w oplakanych warunkach, nie mając zupełnie gdzie malować. Chętnie sko-

rzystalibyśmy z wspólnej pracowni, którą może udałoby się wywalczyć dla członków ZPAP. Myślę, że wypłynęłoby to dodatnio na wytworzenie właściwej atmosfery dla pracy twórczej.

Plastyki tutejsi nie tworzą żadnego kolektywu, każdy na własną rękę boryka się z trudnościami, i to jakimi.

Stanisław Witowski kreśli smutny obraz warunków, w jakich wegetowali niekiedy z rzeszowskich artystów.

I tak np.: „Władysław Żurawski” — pisze Stanisław Witowski — „dłuższy czas uczył w Mielcu w niższych klasach licrum takich przedmiotów, jak matematyka i geografia”. W dalszym ciągu podaje Stanisław Witowski, że Mieczysław Dudziński objął kierownictwo zaopatrzenia w krośnieńskiej hucie szkła.

To zakrawa na paradoks. Czy na terenie naszego województwa plastycy są niepotrzebni? Kto wobec tego ponosi odpowiedzialność za marnowanie inwencji twórczej tych ludzi?

Budujemy zroboty nowej socjalistycznej kultury — zerwaliśmy z elitaryzmem sztuki — sztuka stała się własnością mas, sztuka ma mówić o człowieku i ma mu służyć.

Jak to się dzieje, że ludzie predystynowani do tego, aby budować naszą kulturę właśnie na odcinku twórczości plastycznej, znajdują się na stanowiskach, które absolutnie nie mają nic wspólnego z tą twórczością.

Wszyscy chcemy pracować twórczo, w dużej jednak mierze wyniki tej pracy zależne są od warunków nowych, na szrej inicjatywy.

Tadeusz Stanisław

POWIEŚĆ O WSI DĘBICKIEJ „JAWOROWY DOM” - W. MACHA

Rzeszowszczyzna staje się niewątpliwie coraz częściej tematem reportaży i artykułów w czasopiśmie ogólnopolskich: także w większych utworach literackich daje się to zauważyć. Jest to tym ciekawsze i godniejsze uwagi, gdy piszą o swych rodzinnych stronach ludzie, którzy wyszli z województwa rzeszowskiego, chociaż dość dawno opuścili jego granice. W ten sposób spłacać niejako dług wdzięczności rodzinnej ziemi.

Uwagi te można zastosować w całej rozciągłości do młodego, znanego już pisarza Wilhelma Macha pochodzącego z wsi Kamionka w powiecie dębickim. Jego dorobek literacki nie jest jeszcze ilościowo imponujący. 37 letni pisarz ma za sobą dwie powieści („Rdza” i „Jaworowy dom”) oraz zbiór drobniejszych opowiadań i reportaży, drukowanych w różnych czasopiśmie w ciągu ostatnich 8 lat. Opowiadania te zostały wydane w roku bieżącym pod tytułem „Doświadczenia i przypadki”. Są wśród nich rzeczy lepsze i słabsze. Autor sam przyznaje we wstępie, że na uczył się już oceniać swe dawniejsze błędy i pomyłki. Ale są i utwory o trwałej wartości. Krótki obrazek „Co czytać” zainteresuje swą bezpośredniością i świeżością każdego. Warto w 10-lecie Milicji Obywatelskiej przypomnieć żywą i piękną sylwetkę milicjanta, ukazaną w tym opowiadaniu. „Szkoła wielkiego burmistrza” jest zupełnie niebanalnym wspomnieniem z lat gimnazjalnych spędzonych w gimnazjum ropezyckim. Dużo tam uczucia, przywiązania do rodzinnych stron. Przypomina się nam Andrzej Radek z „Szyfowych prac” Zeromskiego.

Ale nie wnikać w szczegóły. Zatrzymajmy się przede wszystkim na powieści „Jaworowy dom”, wydanej w roku bieżącym. Trzeba ją uznać za dzieło niepośledniego talentu pisarskiego, za poważny krok naprzód, na twórczej drodze Wilhelma Macha. „Jaworowy dom” jest książką nie tylko lepiej napisaną od wydanej przed kilku laty „Rdzy”, ale wyróżnia się dodatkowo rażąco współczesnością literatury polskiej. Warto, żebyście wiedzieli o tym w naszym wo-

jewództwie, no i szczególnie w powiecie dębickim, w rodzinnych stronach pisarza. Zwykle ciekawi czytelnika pytanie: Jaka jest tematyka utworu i kiedy rozgrywa się jego akcja? Odpowiedź na to jest bardzo prosta: Rzecz dzieje się na wsi dębickiej w czasie okupacji, w pierwszych latach po wyzwoleniu. To jednak sprawy nie wyjaśnia i wcale nie decyduje o wartości książki. Mamy już sporo powieści o współczesnej wsi, a jednak niewiele w nich zdołało sobie zjednać serca i umysły



Wilhelm Mach

czytelnika. Czy uda się to Machowi?

Przyjrzyjmy się nieco bliżej książce, spróbujemy wczuć się w atmosferę, w jakiej żyją i działają postacie powieściowe. Jesteśmy w Bielawie, zwyczajnej, biednej, piaszczystej wsi. Trochę tam jest wzmianek i o innych wsiach i miasteczkach, ale najwięcej uwagi poświęca Mach Bielawie, w której widzi niewątpliwie swą rodzinną Kamionkę. Jakże głęboko jest do niej przywiązany. Widać to wyraźnie w końcowych przepojonych uczuciem, zdaniach powieści: „Wiatr uciął, głos harcerskiej trąbki niesie się z daleka dźwięcznie i czysto. Nadstuchują jej grania wiejskie dzieci...”

Minie i ta niedziela Bielawo i ulóżysz się do snu przed nowym dniem pracy. Wezwie cię pomiedzialkowy świt — do życia wciąż tego samego? Czyż nie usłyszała wolania

Gundy Jaworowej? Czy nie chcesz lepszego życia? Bielawo moja rodzinna. Od powiedzi!”

Czy to piękne zakończenie powieści ma być dowodem, że cała książka jest pełna tych osobistych uczuć autora? Nie podoba mi się. To tylko raz autor użył tej formy, by dać bezpośredni wyraz swemu przywiązaniu do stron rodzinnych. Poza tym jego proza jest pełna epickiego umiaru, oszczędna i wyraziście, ale tym więcej przekonująco, pobudzająco do refleksji i bliska czytelnikowi.

Dużo, może trochę za dużo jest różnych postaci w tej książce. Z początku nawet trudno zorientować się czytelnikowi w gąszczu Rapaczów, Sikorów, Kołowskich, Solarzów, Chmielów, Mrozów i szeregu dalszych epizodycznych postaci. Ale wkrótce przyzwyczajamy się do naszych bohaterów. Współczujemy Aldonie Jaworowej, która za panińskich czasów pisywała do pism ludowych, ale w małżeństwie szczęścia nie znalazła. Złe wybrała...

Inaczej było z jej siostrą Teresą, która nie związała swego losu z synem bogacza wiejskiego Chmiela.

Wybrała komunistę Solarza. Ufa mu, widzi słuszność jego walki o przyszłość i jest z nim szczęśliwa.

Zywą sympatię czujemy do postaci Szczepanka, który z parobka stał się poprzez partyzantkę — oficerem w Polsce Ludowej. Niebanalna jest też postać nauczycielki Gorzkówny, który trwa na swym posterunku w najtrudniejszych chwilach, nie zraża się przykrościami, jakich doznaje od ludzi zafananych lub wręcz wrogich. Wiąże się zdecydowanie z „ymi, którzy reprezentują wiarę w przyszłość, w Polskę Ludową.”

Nauczyciele, którzy sięgną na pewno po „Jaworowy dom” będą mieli sporo miłych skojarzeń uczuciowych; do „Siłaczki” Zeromskiego i innych postaci nauczycieli w literaturze pięknej przybyła jeszcze niegłówna wprowadzenie, niemniej jednak wyraża na postać nauczycielki Gorzkówny, o mocnym profilu ideowym, budząca pełną sympatię czytelnika.

Tu trzeba wspomnieć, że Mach sam był przez jakiś czas nauczycielem.

Są też postacie, budzące niechęć, a nawet odrazę w czytelniku. Odnosi się to przede wszystkim do Konstantego Jawora. Jego postać powanie w stosunku do żony, syna i brata jest po prostu nieczłowiekiem. Prosta, ale wstrząsająca jest scena arestowania Konstantego na skutek... nie uprzedzamy zresztą czytelnika. W każdym razie czujemy ulgę, sprawiedliwości stało się zadość.

W drugiej części powieści uwagę naszą zatrzymuje na sobie w dużym stopniu młody Bolek Jawor, urodzony w czasie okupacji w roku 1942. Od jego chrzcina rozpoczyna się powieść, a kończy się opisem tragicznych jego wędrowek i odebraniem od ojca. Opiekę ma mu zapewnić gromada. Bolek ma zdolności muzyczne, ale w swym smutnym dzieciństwie nie zdołał ich należycie rozwinąć. O! — tragedia Janka Muzykanta w nowych warunkach!

Nie jeden czytelnik zaduma się może i pomyśli: A jednak są wypadki, gdy ojców trzeba syna odebrać i powierzyć innej opiece, opiece państwa?

O tych i innych, pozornie prostych sprawach pisał Mach tonem wcale nie moralizatorskim, mentorskim. Wnioski nasuwają się czytelnikowi same, na podstawie działania samych bohaterów powieści. I to jest bardzo ważne osiągnięcie pisarskie. Nie czujemy w przedstawieniu wypadków tego, co określamy nazwą schematu znu. Nie możemy domyśleć się i określić zakończenia akcji, przeczytawszy książkę do połowy.

Trzeba książkę przeczytać do końca.

I jeszcze jedno: nie można jej czytać szybko i pobieżnie. Są w niej pewne skróty myślowe, które wymagają głębszej uwagi. Trzeba się w lekturze rozsmakować i włączyć w tematykę. Ale tym lepiej poznajemy prawdę życiową, a nie papierową o ludziach jednej wsi, tym głębsze i trwalsze jest wychowawcze działanie książki.

Pamiętajmy, Wilhelm Mach, syn wsi rzeszowskiej powaźnie umiłował ziemię rodzinną i umie opisać jej sprawy. Dał temu wyraz w „Jaworowym domu”, który jest cenną pozycją polskiej literatury współczesnej.



Przodujący nauczyciel

Zetempowicz Tadeusz Śliwa — jest jednym z najmłodszych kierowników szkół podstawowych w powiecie strzyżowskim. Szkoła podstawowa w gromadzie Grodzisko, w której pracuje tow. Śliwa ma poważne osiągnięcia na swym koncie.

Wiele pracy w wychowaniu zespołu szkolnego włożył tow. Śliwa przez 4 lata swojej pracy, mimo to znajdował zawsze czas na pogłębianie własnych wiadomości. Pracę w szkole rozpoczął bowiem jako nauczyciel niewykwalifikowany. Dziś zdobył już dyplom nauczycielski.

Tadeusz Śliwa jest równocześnie najaktywniejszym zetempowcem i członkiem podstawowej organizacji partyjnej w gromadzie. Bierze aktywny udział we wszystkich akcjach politycznych i gospodarczych w Grodzisku. Przy jego stałej pomocy i pod jego kierownictwem chłopcy i młodzież gromady budują piękny dom kultury.

Za całokształt pracy zawodowej i społecznej tow. Tadeusz Śliwa odznaczony został Srebrnym Krzyżem Zasługi.

Okruchy literacko-historyczne

KAMIEN NAD LESKIEM

Podróżni przejeżdżający koło Leska mieli sposobność podziwiania ciekawego fenomenu natury. Oto ze szczytu wyniosłego pagórka zwieszają się kawałek ogromnej skały. Domyślowi i fantastyczny hipotez na ten temat było sporo, bo też godzono się powszechnie, że kamienie nie mogły ustawić w ten sposób ręce ludzkie.

Tym dziwnym geologicznym nie warto by się szereg zajmować, gdyby nie fakt, że on to właśnie dał Aleksandrowi Fredrze podniecie do napisania pierwszego drukowanego utworu. W tomie i czasopiśmie „Haliczanin” znalazła się następująca pozycja:

„Kamień nad Leskiem powieść o podania gminnego przez Aleksandra hr. Fredra”. — Jest to duży rozmiarowy poemat (ponad 700 wierszy) złożony z trzech części. Treścią jego są dzie-

je zamkniętej w wieży dziełki Olgi (czyżby pogłos Konrada Wallenroda?), w której zakochał się jakiś szaleniec. Umawiają się na spotkanie na szczycie skały koło Leska, ale młodzian w gorące miłosnej przekroczył termin wyznaczony mu przez czarownicę, więc chatka z zakochanymi zamienia się w kamień.”

Co najbardziej zdumiewa przy lekturze poematu, to zupełny brak tych cech, które przywykliśmy łączyć z twórczością Fredry. Utwór jest na wskroś romantyczny, zawikłany, niejasny, panuje w nim nastrój demoniczny, fantastyczny, burzliwy. Po przeczytaniu „Kamienia” można by wróżyć autorowi, że rozwinię się zeń co najmniej nowy Goszczyński.

Jak wiemy stało się inaczej, z tego zaś wnioskując, że fenomeny natury objawiają się nie tylko w skałach.

Gdzie odbędzie się premiera?

„W STRASZNYCH MIESZKANIACH, STRASZNI MIESZCZANIE”

Kiedy dotarła do nas oficjalna wiadomość, że przedsiębiorstwo Budowlane już od maja br. przystąpi do przebudowy sceny w Państwowym Teatrze Ziemi Rzeszowskiej w Rzeszowie, radość nasza nie miała granic.

Zyliliśmy wtedy wizję nowego teatru, nowej sceny, której dotychczasowe szczupłe rozmiary nie pozwoliły na realizację wielu ciekawych pozycji repertuarowych, a zwłaszcza, inscenizacji sztuk o charakterze widowiskowym.

Podano nawet w przybliżeniu termin ukończenia budowy, ale nikt nawet przez moment nie wątpił, że tak nie będzie. Jakież jednak rozgorzenie zrodziło się wśród pracowników rzeszowskiej Melpomeny, gdy ów rzeszowski termin ukończenia robót okazał się zwykłym, sporządzonym z papieru swistkiem.

Nie wiem czy ludzie kierujący budową teatru — (Rzeszowski Zespół Budowlany Przemysłu Drobnoego) zdają sobie sprawę z trudności, na jakie narazili teatr. W jak katastrofalnej wprost sytuacji pozostawili aktorów, zmuszonych na bezustanną tułaczkę po zimnych, nieopalonych salach.

Mimo tych wszystkich tru-

dnoci zespół Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej wywiązuje się ze swych obowiązków zawodowych i w nienormalnych warunkach jednak normalnie pracuje.

Przenieśmy się zatem do ocalałej świetlicy teatralnej, obecnej sali prób, by przyrzec się pracy nad nową sztuką, której premiera przewidziana jest w drugiej połowie listopada i zapowiada się nader ciekawie.

Próba rozpoczyna się punktualnie o godz. 10. Przenosimy się myślą w lata 90 ubiegłego stulecia do jednego z prowincjonalnych miasteczek rosyjskich — gdzie z łatwością już odnajdziemy dom mieszczanina Bezsjemionowa, w którym przez pełne 4 akty rozgrywać się będzie akcja doskonałego dramatu Maksyma Gorkiego pt. „Mieszczanie”.

Jest jesienne południe. Szybko zapada zmierzch. Za oknami mży deszcz. Tatiana, wtulona w róg staroświeckiej kanapy, czyta książkę. Przy stole z robotką na kolanach siedzi młoda dziewczyna imieniem Pola — daleka krewna Bezsjemionowa, śledząc z wielkim zainteresowaniem akcję powieści. Tatiana jest zmęczona. Odkłada książkę. Nie chce czytać o rzeczach, które są „zmyślone”.

Mówi, że w książkach ni-

gdy nie opisują życia takim, jak ono wygląda naprawdę. Jak nasze życie”. Tatiana ma 28 lat. Sądziła, że wyjdzie za mąż. Będzie kochała, pracowała. Będzie



„Mieszczanie” Gorkiego. Przedstawienie dyplomowe słuchaczy PWSA w Łodzi. Reżyseria prof. Daniewicz.

szczęśliwa. Życie zrobiło jej zawód. Ale nie tylko jej...

Tatiana ma brata. Piotr był ongi studentem wydziału prawa, ale wziął udział w rozruchach i za to został wydalony z uniwersytetu. Sytuację osobistą obojga rodzzeństwa pogłębia jeszcze bardziej rozdziewięć, jaki po-

wstaje między ojcem a dziećmi.

Stary Bezsjemionow, to typowy przedstawiciel rosyjskiej klasy mieszczańskiej, klasy panującej, która w o-

Bynajmniej Piotr ani Tatiana nie należą do ludzi reprezentujących rewolucyjne nastroje młodzieży rosyjskiej, wprost przeciwnie — ich sposób życia, myślenia jest wybitnie dekadentcki, a udział młodego akademika w ruchach był raczej przy padkowy.

Toteż stary Bezsjemionow ma nadzieję, że wcześniej czy później z pewnością dojdzie do porozumienia z dziećmi. Martwi go natomiast po ważnie sprawa Nila. Nil Wasilewicz jest jego wychowankiem.

Ten młody maszynista kolejowy bardzo wcześniej zetknął się z rosyjską klasą robotniczą i z jej ideologią, która wywarła niewątpliwie wpływ na kształtowanie się jego światopoglądu.

Nil jest człowiekiem aktywnym, rozumiejącym życie jako walkę, a więc ścieranie się nowego ze starym. Wśród domowników Bezsjemionowa znajdują się tacy, którzy w pełni aprobują walkę młodego maszynisty o nowe, lepsze życie.

Do nich należy Pola i Tietieriew. Tietieriew to piękna, pełna niesłychanie głębokich pierwiastków dramatycznych postać, wędrownego śpiewaka cerkiewnego, filozofa, który w sile wieku stoczył się w przepaść. Ga-

ierię typów dopełnia jeszcze Pierzychin — ojciec Poli trudniący się handlem ptasz kami.

Rozwścieczony Bezsjemionow za wszelką cenę pragnie utrzymać swój autorytet ojca i pana domu, ale bieg wypadków jest nieodwracalny!

Załamana życiem Tatiana zapalała uczuciem miłości do Nila, widząc w nim zdrowego człowieka, przy boku którego mogłaby otrząsnąć się. Nil kocha Polę.

No, ale co robi Tatiana? Co uczyni Piotr? Jak potoczą się dalsze losy Nila? Jak ustosunkuje się do tych spraw Tietieriew? I jak na to wszystko zareaguje stary Bezsjemionow?

Oto szereg dręczących pytań, na które udzielił wam od powieści przedstawienie sztuki Maksyma Gorkiego — jednego z czołowych dramatów świata — realizowanej przez zespół Państwowego Teatru Ziemi Rzeszowskiej w Rzeszowie.

Spektakl przygotowuje reżysero Adam Daniewicz — aktor Państwowego Teatru Powszechnego w Łodzi i wykładowca Państwowej Wyższej Szkoły Aktorskiej.

No dobrze, ale gdzie się ta premiera odbędzie???

Aktor PZRz. Józef Jachowicz

